

Uśmiechnij się :)

Żyj tak, jak uczysz...

Dzisiejsze moje opowieści, to jakby godzina dziewiąta na tarczy zegara. Do północy, czyli do końca, zostały nam trzy godziny - trzy spotkania z Państwem na lamach „Czasu”.

Są chwile w życiu, które mogą zdecydować o dalszym losie człowieka, a szczególnie, gdy coś przydarza się dziecku. Chwile, które mogą zmienić nas na lepszych lub na gorszych. Taka historia zdarzyła się mnie...

Mottem moich opowiadań są zasłyszane gdzieś mądre myśli. Dzisiejsze nawiązują do życia w ogóle, a do życia seniorów (Dzień Babci i Dzień Dziadka) szczególnie: Ostatnie starzeje się serce. Czas każdego dopadnie, zwłaszcza tego, który stoi w miejscu. Nie stójmy w miejscu. Nie stójmy, ale idźmy, biegnijmy, zawsze jednak tylko do przodu, nigdy do tyłu.

Mały dywersant

Chodziłem wtedy do piątej klasy szkoły podstawowej. W zakładzie, gdzie pracował mój tata, zamówiono dla pracowników ponad 80 czerwonych motorowerów marki Komar. Wtedy jeszcze komarki były na pedały. Takiego komarka (był to wówczas towar deficytowy) dostał też mój tata, oczywiście nie za darmo, musiał go spłacać na raty.

Zakład pracował na dwie zmiany. Motorowery pracowników stały równiutko ustawione, jeden obok drugiego, na placu, pod dachem. Cały plac był ogrodzony,

ale nie zamykany, gdyż strażnik, który pilnował zakładu, miał też oko na komarkę.

Taka liczba motorowerów w jednym miejscu zadziałała na moją wyobraźnię. „A gdyby je tak wszystkie unieruchomić” - pomyślałem i od razu przystąpiłem do realizacji niecnego planu. Opracowałem szczegóły, testując je na motorowerze taty, oczywiście tak, żeby on tego nie widział. Kiedy wszystkie próby wyszły pozytywnie, przystąpiłem do działania. Zakradłem się do komarków i po kolei do bańki, która była nałożona na świecę, wkładałem papier, wbijając go specjalnie przygotowanym patykiem. W ten sposób w krótkim czasie załatwiłem tak ponad 40 motorowerów, nie pomijając komarkę mojego taty.

Druga zmiana kończyła pracę o 23. Pracownicy po ciężkiej robocie chcieli na motorkach jak najszybciej wrócić do domu, ale kiedy próbowali je odpalić, żaden ani nie drgnął. Dowiedziałem się od taty, że klęli, na czym świat stoi, a winę zrzucali na słabe paliwo, a potem wszyscy, w tym i mój tata, pchali komarki do domu. Wtedy zrozumiałem, jak źle postąpiłem.

Już nigdy później czegoś takiego nie zrobiłem. Oczywiście przyczynę szybko odkryto, ale sprawcy nie.

Od tego czasu miejsce parkowania zamykano na klucz i dobrze oświetlono, aby nikt nigdy takiego lub gorszego figla nie wymyślił - był to jedyny plus z tego zdarzenia. Można się z niego śmiać lub nad nim płakać.

Jako dziecko byłem niezłym łobuziakiem, a pomysłów, żeby coś zbroić, nigdy mi nie brakowało.

O tym, że to była moja sprawa, powiedziałem tacie dopiero, gdy miałem 20 lat, ale wtedy byłem już innym człowiekiem.

Nagła przemiana

Do 12 roku życia żyłem sobie beztrudno. Psociłem na każdym kroku. Naukę odkładałem na bok. Nie przykładałem się do odrabiania lekcji. I tak było do tego dnia...

Jestem w szkole, skończyła się przerwa, moja klasa wchodzi do najładniejszej sali lekcyjnej, wyposażonej w telewizor i wiel-



kie akwarium z płótkami i małymi karpikami. Wszyscy, a było nas 18, siadamy do ławek i czekamy na panią. Ale mi i mojemu koleździe znudziło się to czekanie, więc postanowiliśmy zrobić coś dobrego - wytrzeć dokładnie tablicę, choć nie byliśmy dyżurnymi. Zerwaliśmy się z ławki i pobiegliśmy na środek klasy, ale szmatka była tylko jedna. Zaczęliśmy o nią walczyć, wyrwaliśmy ją sobie, szarpaliśmy się. I w pewnym momencie, w ferworze walki któryś z nas rękawem podważył tablicę tak, że zsunęła się z haka i jednym rogiem uderzyła w telewizor (w całej wsi były wtedy tylko cztery). Telewizor z hukiem wpadł do stojącego pod nim, akwarium, a potem razem z akwarium z hukiem spadł na podłogę. Oba urządzenia rozbiły się na kawałki, wśród których, w rozlanej wodzie, pływały rybki. Koleżanki i koledzy z krzykiem uciekli z klasy, a ja z kolegą staliśmy na tym pobojowisku jak zamurovani.

To był moment mojej przemiany.

Oczywiście zrobiła się wielka afera, a dla mojej rodziny - taty i mamy - wręcz tragedia. Musieli odkupić telewizor, akwarium, rybki. Na tamte czasy był to ogromny koszt. Aby naprawić moje szkody, musieli wiele rzeczy sobie odmówić i ciężko pracować. To samo dotyczyło rodziców kolegi.

Od tego momentu, właściwie już na drugi dzień, byłem już innym synem, uczniem, kolegą. Stałem się grzeczny, zacząłem się pilnie uczyć, starannie odrabiałem lekcje. Ale najważniejsze - przestałem psocić, stałem się poważnym,

jak na swój wiek, chłopcem. Do klasy szóstej miałem najłabsze oceny, w siódmej byłem już w środku, a w ósmej - w pierwszej piątce.

Dzisiaj wiem, że gdyby nie ta historia, moje życie poszłoby innym torem, zapewne nie byłbym nauczycielem i wychowawcą. Można więc powiedzieć, że dzięki temu zdarzeniu jestem, kim jestem.

Przepustka

Będąc w wojsku, jako wzorowy żołnierz, często miałem okazję wychodzić na przepustkę. Wiele razy towarzyszył mi mój przyjaciel Piotr, który też był wzorowym żołnierzem i z którym znaleźliśmy się od dziecka. Zwiedzaliśmy miasto, odwiedzaliśmy sklepy, a pod koniec wchodziliśmy do jakiegoś baru i zamawialiśmy niezmiennie jedno piwo i jeden sok z czarnej porzeczki. Kelnerka albo kelner, nie pytając, komu co, zawsze przede mną stawiali piwo, a przed Piotrusiem soczek. A przecież to ja byłem abstynentem. Byłem z tej sytuacji niezadowolony i raz zapytałem, dlaczego tak się dzieje. Kelnerka z uśmiechem i bez wahania wyjaśniła: „Żołnierze, na pierwszy rzut oka widać, kto woli piwo, a kto soczek. Nie potrzeba nic mówić”. Więcej pytań nie miałem.

I tak zostało już do końca naszej służby. W różnych barach i restauracjach zawsze przede mną stawiali piwo, a przed Piotrusiem soczek, a my, śmiejąc się, przestawialiśmy nasze ulubione napoje na właściwe miejsce.

Dziś, gdy spotykam się z Piotrem, wspominamy nasze wypadki na piwo i soczek, i nadal się z tego śmiejemy.

Czytelnik

LEKARZE RODZINNI I GŁUCHE TELEFONY

Dokończenie ze str. 1.

Trudno, czasy pandemiczne zmuszają nas do polubienia różnych „innowacji”, więc przez ten rok i do takiego leczenia zdążyliśmy się przyzwyczaić. Nie ma jednak zgody nas - pacjentów - na to, by w rejestracji którejkolwiek placówki POZ telefon milczał. A tak, o czym informują nas czytelnicy, zdarza się nader często.

- Ja sobie poradzę i wiele innych osób - mówi jeden z mieszkańców - ale są i tacy, co stają przed ścianą i nie wiedzą, co w tej sytuacji robić.

To właśnie z myślą o tych ludziach, często schorowanych i bezradnych, apelujemy do kierowników placówek prowadzących POZ, aby telefony znajdujące się w rejestracjach Państwa przychodni nie były głuchymi telefonami. Rozumiemy, zdarzają się sytuacje, że z jakiegoś ważnego powodu nie można odebrać, ale przecież nie przez cały dzień - a i tego typu skargi do nas dochodzą.

Przygotowując ten materiał, nie miałem aż takich problemów

z dodzwonieniem się do znajdujących się na terenie Ostrzeszowa przychodni POZ, **choć tylko w jednym przypadku udało mi się to za pierwszym razem.**

Warto w tym miejscu przypomnieć urzędowy zapis:

Narodowy Fundusz Zdrowia przypomina, że świadczeniodawca prowadzący przychodnię Podstawowej Opieki Zdrowotnej (POZ) zapewnia dostępność do świadczeń: lekarza POZ, pielęgniarki POZ i położnej POZ w miejscu ich udzielania od poniedziałku do piątku, w godzinach pomiędzy 8.00 a 18.00, z wyłączeniem dni ustawowo wolnych od pracy, zgodnie z harmonogramem pracy świadczeniodawcy.

Przypominamy też ostrzeszowskie przychodnie POZ oraz godziny rejestracji i numery telefonów, pod które można dzwonić, by zarejestrować się na rozmowę lub wizytę u lekarza rodzinnego.

„ARS MEDICA” - ul. Zamkowa 24

rejestracja w godz. 7.30-18.00 tel. (62) 730-19-00 tel. (62) 730-19-08 tel. kom. 887 776 601

„ESKULAP” - ul. Dworcowa 4 rejestracja w godz. 8.00-18.00 tel. (62) 732-23-90 tel. kom. 603 647 040

„POMOC” - ul. Powstańców Wlkp. 31 rejestracja w godz. 8.15-17.00 tel. (62) 730-38-75 tel. kom. 887 160 150

„SALUS” - ul. Przemysłowa 11 rejestracja w godz. 8.00-18.00 tel. (62) 730-15-16 tel. kom. 601 804 674

Z informacji, jaką otrzymałem w punktach rejestracji ostrzeszowskich przychodni POZ, wynika następujący obraz relacji PACJENT - LEKARZ:

- Dzwonimy pod jeden z podanych wyżej numerów do przychodni, w której jesteśmy zapisani.

- Jeśli pacjent chce rozmawiać z lekarzem, bo np. niepo-

koi się stanem swojego zdrowia i chce umówić się na wizytę - zostaje połączony z gabinetem lekarskim. Trzeba jednak wiedzieć, że nie zawsze „nasz lekarz” w danym momencie jest w przychodni, wtedy pozostaje cierpliwie czekać, aż sam do nas oddzwoni, powiadomiony przez rejestrację. Jeśli z jakiegoś powodu nie doczekamy się telefonu od lekarza, w innym terminie kontaktujemy się z rejestracją w swoim POZ. Może też się zdarzyć, że lekarz właśnie przyjmuje jakiegoś pacjenta lub z innym pacjentem prowadzi telefoniczną poradę, wówczas też jesteśmy zmuszeni zadzwonić później.

- Załóżmy, że szczęście nam dopisze i w rejestracji od razu połączą nas z odpowiednim lekarzem, wtedy przedstawiamy mu nurtujący nas problem. W trakcie tej rozmowy lekarz podejmuje decyzję, czy zaprosić pacjenta na wizytę, czy (przynajmniej na razie) wystarczy porada przez telefon i zapisanie potrzebnych leków. Taka decyzja zawsze jest obciążona marginesem błędu, bowiem hipochondryk będzie przekonywał doktora, że właściwie już umiera, tymczasem osoba mało wylewna, skryta, może nie informować o pewnych istotnych symptomach choroby.

Wiele zatem zależy od roztropności lekarza i znajomości „swoich” pacjentów. Nie stanie się nic złego, gdy da się „naciągnąć” osobie nad wyraz czułej na punkcie swego zdrowia i zaproponuje jej wizytę w przychodni. Gorzej, kiedy zlekceważy słowa kogoś, kto słabo przekonywał do swojej choroby, tymczasem ona rzeczywiście się rozwija. Takie ryzyko zawsze istnieje, a w porady telefoniczne jest wręcz wpisane.

- Kiedy lekarz uzna, że wolałby zobaczyć i zbadać pacjenta - proponuje mu wizytę w przychodni. Ustala dzień i dokładną godzinę jego przyścia - chodzi o to, by pacjenci nie gromadzili się w poczekalni, narażając na zarażenie koronawirusem. Sama wizyta u lekarza również odbywa się w pełnym zabezpieczeniu - tak pacjenta, jak i lekarza.

Jak widać droga pacjenta do lekarza POZ (specjalisty również) w czasach „łaskawie panującej nam epidemii” jest długa i wyboista. Niech zatem „głuche telefony” nie będą na tej drodze dodatkowymi kłódami, rzucanymi pod nogi chorym ludziom.

K. Juszcza